№ 56

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 15 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

MYŚLIWSKA PRZYGODA W GÓRACH AUWERNII.

Z G. AGARD HANSARD.

Przebiegając południowe prowincyje Francyi w jesieni roku 1823, obrałem sobie na niejakiś czas siedlisko w wiosce, odległej o pół godziny drogi od powabnego miasteczka Riom. Kilka książek, pudełko malarskie, perspektywa, smycz psów gończych i wędka, dostateczną przynosiły mi rozrywkę w tej romantycznej samotni. Poblizkie góry bogate są w zwierzynę, a w jasnych strumieniach, które czyste swe fale z ich wierzchołków toczą, roi się nieprzeliczone mnóstwo ryb.

Było-to przy schyłku mglistego z ostatecznych dni października; nabiegałem się przez cały dzień za pięknemi czerwonemi kuropatwy, które po chróstach, zarastających barki góry Puy de Dôme, gnieżdżą się; zmordowany i głodny zatrzymałem się przy maleńkiej starodawnej kapliczce, do której górale corocznie pobożne odprawiają pielgrzymki. Ponad gotyckiemi drzwiami leśnego gmachu wznosił się, z kamienia wykuty, obraz Najświętszej Panny z bozkiem dziecięciem na ręku. Mchem obrosła podstawa wielkiego kamiennego krzyża, który stał niegdyś naprzeciw kaplicy, a dzisiaj zwalony, na wpół ledwie z pośród zielonej wydobywał się trawy, miękkiego użyczała mi siedzenia. Jasne, przezroczyste źródło, wytryskujące obok ze szczeliny skały, o której ścianę oparta była kapliczka, gromadziło swe drobne fale w naturalne wydrążenie podobne do sztucznej sadzawki, potem z łagodnym szmerem niosło je w hołdzie do leśnego strumienia, którego szum głuszący przerywał jedynie panującą w około ciszę uroczystą. Do skały, na żelaznym łańcuszku, przykuty był kubek także żelazny, a wyryty na niej napis: *Fesso Viatori*, zapewne taż sama dobroczynna położyła ręka, która tak miłe wędrownikowi przygotowała zadziwienie. Błogosławiąc z całej duszy nieznanemu dobroczyńcy, duszkiem kilka kubków wychyliłem na cześć jego.

Uczułem się orzeźwiony i zapuściłem się głębiej w przerażająco-pyszny gór krajobraz. Zewsząd dźwigały się góry w najdziwaczniejszych, najrozmaitszych kształtach, a ostatnie promienie zachodzącego słońca, złocące ich szczyty, rozlewały jeszcze część swego blasku na mieniące się liście jesienne w około wspaniale zarastających lasów. Potem zmieniała się scena — zagrążyłem się w jar głęboki: ogromne granitowe kłody, które starodawne jakieś natury zburzenie od wiszących ponad mą głową skał oderwało, tu i owdzie zalegały drogę, dziwotwornie jedne na drugie powalone. Zapuszczając w ich szczeliny korzenie, z pośrodka nich wysokie, stare wybiegały sosny i, podobne widziadłom nocnym, wiatrem poruszone olbrzymiemi machały ramiony.

Dzika samotność tego miejsca nie zachęcała do długiego pobytu, śpieszyłem zatem, kierując me kroki po szumie strumienia, tak szybko, jak tylko stroma pochyłość góry mi dozwalała. Nagle droga na trzy rozchodziła się gałęzie: jeszcze stałem na-

myślając się, którą się mam puścić, gdy raptem obudził moją uwagę jękliwy głos boleści jakowegoś zwierza, znajdującego się w niebezpieczeństwie. Bukowy las ciągnął się po obu stronach wąwozu, który przebyłem. Z niego głos ten się wydobywał. Wkrótce po owym żałosnym jęku nastąpiło przenikliwe i dzikie wycie, połączone z krakaniem niezliczonych ptaków, czarną chmurą z drzew się zrywających, z rażącym świstem sokołów, które, szerokie zakreślając koła, ze skalnych gniazd swych ulatały, i z lękliwem skamlaniem psów moich, przerażający utworzyło koncert, i dało mi poznać, iż wilki, od których ta część Francyi zbyt często bywa nawiedzaną, nocne swoje rozboje rozpoczęły. Stałem cicho, zdjąwszy strzelbę z ramion, i oparty plecami o drzewo, czekałem z odwiedzionym kurkiem na przybycie napastników. Obróciłem głowę na głośny łomot druzgotanych za mną gałęzi, i postrzegłem sarnę wypadającą z gęstwiny, ściganą przez wilczycę i dwoje małych wilcząt. Biedne zwierzę zdawało się być wyniszczone z utrudzenia i strachu, i zaledwie trzydzieści kroków ubiegło w głąb jaru, doścignęła je ścigająca wilczyca i pochwyciwszy za gardło, powaliła na ziemię, natychmiast krwią jego ubroczoną. Wilczęta, również skore i dzikie jak matka, przybiegły, i wszystko troje razem zaczęli rozdzierać i chłonąć swą zdobycz. Chociaż to wszystko prędzej daleko stało się, niż słowa opowiedzieć zdołają, miałem jednakże jeszcze tyle czasu i przytomności, dodać kulę do zwyczajnego ładunku mej strzelby, a niewymowną mając ochotę grać główną rolę w dramacie, którego dotąd tylko widzem byłem, przykląkłem ostrożnie na jedno kolano, wycelowałem i wypaliłem. Strzał mój trafił, ale nie tak jak pragnąłem: upadło większe wilczę, śmiertelnie ranione, drugie uciekło do boru od psów moich ścigane, których dłużej utrzymać nie mogłem. Sam jeden i bez nabitej strzelby, poznałem teraz całe niebezpieczeństwo mego położenia, gdyż z niesłychanym mrukiem porzuciła natychmiast stara wilczyca łup swój, z wściekłości sierć na grzbiecie najeżywszy, z błyszczącem okiem, pałającem ponurym ogniem, spiesznemi skoki przypadła ku miejscu, gdzie dotąd jeszcze klęczałem. Nie było ani chwili do stracenia. Zerwałem się nagle. Utwierdziwszy się mocno na nogach i oburącz pochwyciwszy lufę karabina, wywijać zacząłem kolbą ponad głową, czekając przybycia dzikiej potwory. Wilczyca zaledwie już o sześć stóp była tylko ode mnie oddalona: zdawało mi się, że już czuję, jak kły swoje w gardło mi zagłębia. Zimny pot lał mi się z czoła, gdy właśnie w chwili, kiedy wszystkie zgromadziłem siły na raz stanowczy, zwierzę nagle konwulsyjnie podrzuciło się do góry, i martwe potoczyło się u nóg moich. Wystrzał karabinowy dał się zaraz potem słyszyć. Donośny głos odezwał się znanem myśliwskiem nawoływaniem: *Harloup chiens! harloup! ie voici! harloup!* i dwa psy gończe wypadły i rzuciły się na zgromionego wroga.

Ten niespodziany ratunek w najgroźniejszem niebezpieczeństwie, szybki jak błyskawica, pozbawił mnie na chwilę przytomności. Gdym się nakoniec obrócił ku stronie, z której strzał wypadł, postrzegłem wysokiego podeszłego mężczyznę, w ubiorze strzeleckim, wychodzącego z pomiędzy drzewin, które w oddzielnych bukietach przed samym wstępem do lasu rosły. Zbliżywszy się, zdjął uprzejmie czapkę, i lufą strzelby przewracając olbrzymie ciało zabitej wilczycy, rzekł do mnie z uśmiechem: — Musisz Pan być zapewne obcym w tych górach, gdyż żaden Auwerneński myśliwy nie odważyłby się o tej godzinie, z jednym tylko ładunkiem, bez pary przynajmniej ogarów, przebiegać te samotnie.—Gorące oświadczyłem mu dziękczynienia za ratunek tak w samą porę przyniesiony; powiedziałem mu, że jestem Anglik, że wyszedłem na kuropatwy i bynajmniej nie spodziewałem się napotkać podobnej zwierzyny, jak ta, co przy mych nogach leżała rozciągnięta.

Ze smutkiem dowiedziałem się, że jeszcze znacznie jestem oddalony od mego siedliska: »Wioska St. Amande leży ztąd o dobre trzy godziny drogi, tam po drugiej stronie góry, — rzekł mój wybawca, pokazując mi w szybko zapadającym zmroku punkt prawie niedojrzany. — Słaba przysługa, którą byłem dość szczęśliwy Panu wyświadczyć, nie byłaby zupełną, gdybym mu dozwolił najprzykrzejszą i najniebezpieczniejszą może część tej dzikiej okolicy przebyć samemu. Jeżli nam pogoda posłuży, — dodał poglądając na niebo, po którem od rana lotem strzały czarne goniły się chmury,—

to może jeszcze dość wcześnie zdążymy w dolinę, aby bród przebyć; skoro go miniemy, droga już będzie dogodna. Muszę tylko pierwej z tej bestyi zedrzeć skórę, jedyną rzecz, która z niej jest pożyteczna.« I zaczął się spiesznie krzątać około myśliwskiej zdob czy.

Podczas tego zatrudnienia miałem sposobność przypatrzyć się bacznie zajmującej postawie i całemu ułożeniu owego leśnego człowieka. Straszliwa jego strzelba leżała na ziemi, bogato w srebro oprawna i ozdobna rzeźbą, myśliwskie wyobrażającą przedmioty. Ogromna czapka z wilczej skóry ocieniała twarz ogorzałą i trudem wyniszczoną, która jednak dobrocią i wesołością się uśmiechała. Zielona aksamitna strzelecka suknia ze srebrnemi guzikami, na których zamiast herbu wyobrażona była głowa dzika, i pół-bóciki z łosiej skóry dokończały jego ubrania. Na jednem ramieniu, na rzemiennym pasie, miał przewieszony róg w srebro oprawny, a przez drugie spływał mu na bawolim pendencie nóż myśliwski, z herbem w srebrze wyżłobionym i napisem: *Gardechasse de Monsieur le Baron de St. Geneste.*

Gdy już z obu zwierząt zdarł skórę, ze zręcznością wprawnych w ślachetne myśliwskie rzemiosło, i podług starodawnego łowieckiego zwyczaju, poobcinał przednie łapy, jako trofej zwycięzki, zarzucił resztę zamordowanej sarny na ramię, wydobył głośny, przedłużony odgłos z polowej swojej trąbki, który w około powtórzyły skały, przywołując psów swoich, i oba spiesznemi kroki w dalszą puściliśmy się drogę.

Szliśmy już blizko przez godzinę, gdy grożąca dotąd chmura w nawalnym rozpłynęła się deszczu; wiatr dął wściekle po zalegających drogę skał odłomach, i wirem kręcił w powietrzu liście i gałązki rozpierzchłe po darni. Na większą naszą biedę, noc coraz spieszniej czarna i groźna nadchodziła, a gęsta mgła coraz bardziej kryła przed nami najbliższe nawet przedmioty. Nagle zatrzymał się mój przewodnik, postał cicho chwilę, jak gdyby chciał zachwycić daleki jakiś odgłos. »Lękam się, aby droga już nam nie była zagrożona, — rzekł; — słyszę, jak grzmi już leśny potok; zapóźno przyjdziemy do brodu.« — Przyśpieszyliśmy kroku i w pół godziny stanęliśmy przy strumieniu; lecz z przerażeniem postrzegliśmy, iż aż nazbyt sprawdziła się obawa mego przewodnika. Przy niepewnym zmroku, który gasnącem jeszcze migał światełkiem, mogłem wyraźnie rozeznać białą pianę wezbranego i mętnego potoku, toczącego z przeraźliwym i uroczystym szumem swe fale przez tamujące pęd jego skały.

— Tu właśnie jest bród,— rzekł mój przewodnik, zbliżywszy się do niewielkiej nadbrzeżnej zatoki;— przy pomocy lufy mojej strzelby, nie raz, podczas większej daleko burzy, tędy przechodziłem; lecz Pan, — dodał, wątpliwie na mnie spoglądając, — może nie będziesz miał ochoty bliżej poznać się z tą wodą? — Chociaż nie jestem lękliwy, ani słaby, wyznam szczerze, iż bynajmniej nie miałem ochoty, podczas takiego wiatru, deszczu i ciemności, wezbrany ten leśny potok przebywać, uważając zwłaszcza trudność przepławienia psów, które bystry nurt uniósłby bez wątpienia. Odmówiłem zatem, pytając, czyby nie było w poblizkości jakowego miejsca, do któregobyśmy się mogli schronić, dopóki nawałnica nie przejdzie. — O kilka kroków ztąd jest jaskinia, — odpowiedział mój przewodnik, — która mi nie raz w podobnym przypadku gościnnej użyczała zachrony. Jest tam nagromadzony obfity zapas suchych gałęzi; mamy skałkę i krzemień, prócz tego, dzięki wilkom, wyborną zwierzynę; no, jak Pan myślisz, sporządzimy sobie myśliwską wieczerę?

Drzący od zimna i na wskróś przemokły, chętnie na to przystałem; zaczęliśmy postępować ostrożnie, w zupełnej prawie już ciemności, ciągle trzymając się potoku, którego szum służył nam za drogową skazówkę. Gdyśmy do ciemnej przybyli zachrony, spiesznie nagromadził myśliwy niezmierną kupę suchych liści i gałązek, skrzesał ognia strzelbą, i wkrótce jasny płomień wesoło oświecił pieczarę. Leśniczy wkrótce się rozgościł; wyciągnął błyszczący nóż z pochwy, urznął kilka zrazów z udźca sarniego, i wkrótce powonienie nasze orzeźwił miły zapach zwierzyny. Rozciągnięci na mchu przed dzielnem ogniskiem, użyczyliśmy zarazem spoczynku naszym zmordowanym członkom, i zaczęliśmy pożywać naszą leśną biesiadę; a gdy nasycony głód ustąpił miejsca swemu bratu, pragnieniu, towarzysz mój wyszedł na kilka minut, i wkrótce powrócił, niosąc strzelecką manierkę, pełną najczystszej wody.

(Dokończenie nastąpi.)

B A B E L.

Ten jest najszczęśliwszy z ludzi, którego czyny odpowiadają wyrazom, a wyrazy czynom.

Konfucyusz.

Przyjaźń kobiet ma w sobie daleko milszy powab, niżeli przyjaźń mężczyzn; jest baczna, czynna; jest tkliwa i cnotą oddycha, a nadewszystko jest trwała.— Kobieta w trzydziestym roku wyborną staje się przyjaciołką, przywiązuje się do człowieka, który pozyskał jej szacunek, tysiączne wyświadcza mu przysługi, posiada zupełnie jego zaufanie, i swoje nawzajem mu oddaje; sława przyjaciela jest jej nadewszystko drogą, broni jej z zapałem; oszczędza jego słabości, bacznie na wszystko uważa i postrzeżeń mu swoich udziela; w wielkich zdarzeniach znakomite i skuteczne wyświadcza mu przysługi; nie szczędzi ani starań, ani chodzenia, a nieszczęśliwy, którego świat i ludzie zdradzili, odzyskuje w przyjaźni kobiety wszystko co utracił.

Mercier.

Sumienie Bogu tylko winno rachunek. Można je wzruszyć łagodnem przekonaniem, a nie gwałtem. Jest-to kwiat, który się roztwiera na zabłysk słońca, a zamyka na burzliwego wiatru zadęcie.

Bernardin de Saint Pierre.

R U M I E N I E C.

M Ą Ż.

Jakim-to wypadkiem, żono,
Różą nie kwitniesz od ranka?
Wszak nie bladości osłoną
Wabiłaś przedtem kochanka?
Szkarłat na twe lica zlany,
Oddał ci moje istnienie,
Miałożby-to być złudzenie?
I twój rumieniec udany?

Ż O N A.

Niech cię ta bladość mężu nie smuci,
Niech ci podziwu nie wradza,
Ona pożycia nam nie zakłóci,
Bo wielką jest sztuki władza:
I zanim jeszcze wyjdę z sypialni,
Te lica tak nie zostaną,
Rumieniec leży na gotowalni,
Będę i dzisiaj rumianą.

J. K. K.

W nrze 52 Rozmaitości Korrespondenta odczytałem z szczególnem zajęciem rymowany pomysł Pana J. M. W. »Wieczór w saskim ogrodzie«, a idąc za przyjętą zasadą, że naśladownictwo pięknych tworów nie jest naganne, zamierzyłem 10 początkowych wierszy oddać w mojej klejance »Rano w tymże ogrodzie«, nie odstępując na jotę od wyrażeń autora.

WIECZÓR W SASKIM OGRODZIE.

Omdlały skwary, a słońce w pościeli
Złotych obłoczków kąpie swe promienie;

Z-za wież się wymknął jasny księżyc w bieli;
Stare kasztany chłodne lejąc cienie,
Drzemią jak wzniosłe przed Izan meczety,
I wzajem twarde wyciągają dłonie;

Sterczące wciemni z kwiatów minarety,
Powietrznych kryją miuezinów w łonie;
Blysły tenczami ledziuchne zasłony,
Jakby las bander po szklannej wód fali.

R A N O.

Wybiega słońce z pościeli
Złotych obłoczków zachodu,
Kędy dla chłodu
Promienie do wieczornej posłało kąpieli.
Cofa się księżyc za wieże,
Z wczorajszej drzymki powstał kasztan stary,
Ale już nie leje cienia,
Bo dłonie, wyciągnięte w cienistej ofierze,
Kryjąc pomiędzy konary,
Postać meczetu w postać drzewa zmienia.
Wraz miueziny z minaretów lecą,
A cienniki lic ochrona,
Jak wśród wody Najad łona,
Śnieżną barwą w koło świecą.

napisałem.... prawda że napisałem, ale to sęk, ktoby mnie zrozumiał, gdybym wierszyk mój oddzielił od wierszyka Pana J. M. W.; muszą więc one obadwa tak zostać.

J. K. K.